

MACIEJ CHRZANOWSKI

Twórcy Jewgienija Zamiatina, po latach skazania na nieobecność powrócili za sprawą przebudowy do radzieckiego życia kulturalnego. Także polscy czytelnicy, za pośrednictwem „Literatury”, mogli poznać powieść „My”, bodaj najważniejszy utwór w dorobku tego pisarza.

Wczoraj, dzięki Teatrowi Rzeczypospolitej, warszawska publiczność zobaczyła „Pchłę” Zamiatina, w wykonaniu Teatru im. Horzycy z Torunia, w reżyserii Krystyny Meissner. O samym tekście tego generalnie świetnego pisarza nie można powiedzieć wiele dobrego. Jest tylko miejscami zabawny, poza tym dość schematyczny. Być może ktoś odnajdzie w nim bezpośrednio aktualne akcenty, jakąś prawdę o kompleksach Rosjan wobec Zachodu, ich narodowym charakterze. W zamierzeniu autora miała to być wesoła krotkowiec, próba przywrócenia do życia rosyjskiej komedii ludowej, inspirowana ubiegłowieczną opowieścią Leskewa. Pod koniec lat dwudziestych to przedstawienie zdjęto z repertuaru MChAT, nawet tak łagodna krytyka rzeczywistości i narodowych przywar wydała się wtedy zbyt ostra.

Toruński zespół, przede wszystkim zaś reżyser, starał się być wierny autorskim założeniom Zamiatina. Pokazał przedstawienie, zaczynające się już przed budynkiem Teatru Polskiego, będące stylizacją i zabawą, rodzajem festynu, może nawet ludowego święta, do udziału w którym nieśmiało próbowano wciągnąć widzów. Nie było w tej inscenizacji wybitnych ról, dominowało natomiast wyrównane, dobre aktorstwo zespołowe. To właśnie aktorzy, również scenografia oraz kostiumy, uczynili toruński spektakl widowiskiem, mogącym skupić uwagę współczesnego widza. Proponując mu nieco uśmiechu i dobrej rozrywki. Warto było zobaczyć „Pchłę”, chociaż każdy, kto zna prozę Zamiatina, musiał wychodzić z teatru rozczarowany.